

# Kronika

## tygodniowa

Święta Wielkanocne są już poza nami i trzeba przyznać, że sprawiły nam niespodziankę i to daleko przyjemniejszą od genueńskiej. Jeszcze w ubiegłym tygodniu w kronice pisanej przed świętami, wyrażaliśmy przypuszczenie, że ósma Wielkanoc wojenna będzie bardzo smutną i nie przypominającą niczem dawniejszych gorących czasów, które dopiero dzięki wojnie miały nadejść naprawdę. Pokazało się jednak, że nasze przypuszczenia były z gruntu fałszywe, dziewięćdziesiąt procent bowiem naszego społeczeństwa świętowało tak hucznie, że dzisiaj jeszcze nie mogą szlachetnego zdrowia doprowadzić do równowagi, a w każdym prawie domu pozostało tyle zapasów, iż niemal wszędzie, z obawy, aby się nie zepsuły, urządza się z nich bigos i to, trzeba przyznać, smaczniejszy i strawniejszy od genueńskiego.

Obliczyliśmy, że nie świętowało u nas zaledwie dziesięć procent ogółu, a ci, którzy się w tam położeniu znaleźli, sami sobie maszą przypisać winę, trzeba bowiem było zapukać do drzwi pierwszego lepszego znajomego paskarza lub lichwiarza, a byłoby się i nakarmionym i napojonym, ci bowiem ludzie, trzeba im przyznać, co się im słusznie należy, pamiętali w tym okresie nie tylko o sobie, lecz dzielili się chętnie i z bliznami, satysfakcją zaś sprawiali im przedewszystkiem to, że mogli mu za imponować.

Ostatnie dni Wielkiego Tygodnia były też z powodu przygotowań świątecznych nad wyraz ruchliwe. W sklepach korszennych, masarniach, cukierniach, składach wódek, win i piwa panował zgiełk niesłychany, tu i ówdzie spotykało się nawet „ogonki“ i to bardzo nieraz okazałych rozmiarów, złożone z oczekujących cierpliwie na swą kolej, byle tylko zapewnić wątlemu ciastu tradycją nakazane przyjemności. A kupcom naszym i przemysłowcom przyznać należy, że rozumieją dobrze swój interes i potrafią wyzyskać należycie każdą sposobność, w miarę też popytu rosy, jak na drogich cenę niektórych artykułów i za to, co jeszcze przed południem kosztowało dajmy na to sześćset marek, popołudniu już trzeba było płacić siedmset, wieczór zaś ośmset. Pocciwi ludziska nie sobie z tego nie robili, płacili ile im kazano „łay“ i „tygrysy“ wędrowały całymi masami z ich kleszeni do kas sklepowych, które stawały się wobec tego podobnymi do menażeryi. A kupiec obliczając wieczorem zarobek, konstatawał z zadowoleniem, że wojna światowa ma przecież swoje dobre skutki, wobec czego można przeboleć nawet takie jej przykre następstwa jak danina, podwyższenie cel i innych opłat, na czem wszystkiem mądra głowa i czule na niedolę bliźniego serce potrafi zawsze odpowiednio zarobić.

Uspokojenie przedświąteczne było zatem bardzo różowe, na rękę ludziom poszła i matka przyroda, dając ich tak wspaniałą pogodą, jakiej już dawno w święta wielkanocne nie mieliśmy. W Wielką Sobotę podążyli też tłumy na rezurekcję na Wawel, a stamtąd pod dach domowy, zegnane z barbakanu Władysława IV. przez Kościuszkę życzeniami wesołych świąt. Nie czekając niedzieli, już w sobotę rozpoczęto sobie składać życzenia oczywiście nie na sucho, dalszy ich ciąg nastąpił w niedzielę, poniedziałek i wtorek, w pierwszy z tych dni uwzględniając przeważnie stary Kraków, w drugi Zwierzyniec, w trzeci Podgórze. Jedzono i pito z prawdziwym apetytem, obliczając w duchu, ile to pieniędzy przesunęło się przez gardło i każdemu mimowoli przychodziło na myśl, że przecież miał rację ten, kto powiedział, że wojna światowa stosunki naprawi, bo gdzież kiedy zwykły śmiertelnik mógł sobie przedtem pozwolić na taką libację, która obliczona na gotówkę wyniosła kilka tysięcy marek na osobę. Jasny to zatem dowód, że dzięki wojnie wzbogaciło się nasze społeczeństwo, czyli, że cel jej został w pełni osiągnięty. Przy tej sposobności omawiano też i sytuację polityczną, a pierwsze miejsce zajmowała wszędzie konferencja genueńska, której zadaniem odbudowa Europy i doprowadzenie jej do stanu bodajby takiego, jaki był przed wojną. Wyrażano z różnych stron nadzieję, że do tego tak rychło nie dojdzie, ci, którzy tak utrzymywali, przewidywali widocznie, że podobnie nspokojeni są panowie Czerwini i Rathenau i że przygotowują światu niespodziankę, jakiej się nawet Lloyd George nie spodziewał, choć to on sam dostarczył maki na ten chleb, który teraz ma zjeść Koalicja. Na szczęście o sojuszu sowiecko-niemieckim, zawartym w Rapallo, do-

wiedzieliśmy się dopiero po świętach, nie wpłynęło to zatem ujemnie na tok zabawy, która wykazała, że w Polsce dzieje się widocznie dobrze, skoro ludzie są tak ze siebie zadowoleni.

Jeśli obliczyłoby się na gotówkę wszystko to, co w czasie świąt zniknęło w czeluściach żołądków, pokazałoby się, że przejeżdżono i przepito w całej Polsce nie miliony, lecz miliardy, skoro zaś tak było, to jasny dowód, że one są, czyli, że dzięki wojnie wzbogaciłoby się tak, jak nigdy przedtem. Ta drobna część, która majątku nie zrobiła, również sama sobie tylko winna, robił go bowiem każdy inny, mogli go zrobić i oni, nie powinni zatem narzekać, bo nie los z nimi obszedł się po macoszemu, lecz oni sami ze sobą. Słusznie powiedział pewien praktyczny filozof nowego pokroju, że na wojennych stosunkach nie dorobił się majątku tylko ostatni niedojda, każdy bowiem inny potrafił uszczknąć cośkolwiek dla siebie i to bez potrzeby narażania się na większe niebezpieczeństwo, bo jak statystyka urzędowa wykazuje paskarzy i lichwiarzy zaledwie jeden na dziesięć tysięcy niepokojony był przez władzę, a i tych dziewięćdziesiąt dziesięć i pół procent wychodziło obronną ręką z opresji, owe zaś pół procent tworzyły przeważnie same drobne rybki lichwiarsko-paskarskie, którym konflikt z kodeksem karnym nie sprawił zbytnej przykrości nie zaszczepił zbyt ich honoru.

W Poniedziałek Wielkanocny poślagnął Kraków, korzystając z wspaniałej pogody i prawdziwie letniego ciepła na pierwszą zamiejską wycieczkę, tj. na „Emanus“, odbywający się na Zwierzyniec. Ponieważ dzielnicę tę zamieszkuje przeważnie ludność pracująca fizycznie, a ta dzisiaj jest najlepiej sytuowana, kto miał tam znajomego i odwiedził go, z pewnością tego nie żałował. Jesć i pić było wszędzie w bród, a najbardziej z tego radowali się aptekarze, którzy w ostatnich czterech latach narzekali ogólnie na zupełny zastój w okresie poświątecznym. W tym roku na szczęście zaszła zmiana na lepsze, ruch w aptekach przez cały tydzień po świętach był nadzwyczaj ożywiony, staropolska cnota gościnności zrobiła swoje, zdrowie trzeba było naprawiać. Na to jednak nikt z cierpiących nie narzekał, uważając, że jest to tylko znak widomy, iż w czasie świąt nie próżnował, a i po świętach nie zapomniał także, aby znajomym dopomóc przy uprzątnianiu resztek darów Bożych w obawie, żeby się nie zmarnowały. Późnym wieczorem wracali Krakowianie ze Zwierzynca pod swe rodzinne dachy, ponieważ zaś był to „poniedziałek oblewany“, nic w tem dziwnego, że wielu spotykało się kompletnie „zalanym“.

Wtorek jest właściwie rodzajem półświęta, przedpołudniem trzeba bowiem oddać się swym zawodowym czynnościom, t. j. będąc urzędnikiem, odwiedzić biuro, nietylko w celu załatwienia jakiejś czynności, gdyż do tego nikt niema ochoty, ile raczej, aby sobie pogadać z kolegami i dowiedzieć się, jak spędzili święta. Z biura wychodzi się wcześniej niż zwykle i ciągnie się prosto do knajpki, w której nie było się przez dwa dni, potem do domu na obiad, a właściwie na barszczyk, ugotowany na kości ze szynki, popołudniu zaś wycieczka na Podgórze, na obchód Rękawki.

W roku bieżącym obchodzono ją bardzo hucznie i wesoło, również przy wspaniałej pogodzie. Pokazało się, że niema racji twierdzenie owego meteorologa, który utrzymywał, iż, ilekroć katolicka Wielkanoc spotka się z żydowską, tyle razy musi być deszcz. Tak bywało może dawniej, przed laty, dziś jest zupełnie inaczej. Świętowaliśmy równocześnie i obeszło się bez deszczu, który spadł dopiero we środę, aby wyręczyć Zakład czyszczenia mięsa przy porządkowaniu ulic, które przedewszystkiem w okolicach, dotkniętych Emanusem i Rękawką pozostawiały pod względem czystości bardzo wiele do życzenia. Niektórzy są zdania, że pogoda w tegoroczne święta żydowskiej Paschy jest następstwem postanowienia traktatu wersalskiego, biorącego w obronę prawa mniejszości narodowych i wyznaniowych.

Co było powodem, to zresztą mniejsza, faktem jest, że mieliśmy pogodę, a to ważniejsze. Wobec tego udała się i Rękawka, a na chlubę obywateli Podgórze dodać się musi, że i oni nie sprzeniewierzyli się staropolskim tradycjom, lecz poszli w zawody o lepsze ze Zwierzynczanami i krakowskich gości przyjmowali tak serdecznie, że i w ten dzień kroniki policyjne zanotowały bardzo wiele wypadków „zalania“, a kilku „powodziań“ w braku innego pomieszczenia internować musiano pod „Telegrafem“.

Największą atrakcją Rękawki stanowiły Igrzyska Olimpijskie, o których wspominaliśmy w poprzednich kronikach. Przyznać się musimy, że informacje nasze co do nich, choć czerpane z najlepszego źródła, były poniekąd fałszywe, a to przedewszystkiem z tego powodu, że Magistrat krakowski udzielił na urządzenie ich nie, jak donosiliśmy, dwadzieścia tysięcy marek

subwencji, lecz dwieście tysięcy, pozatem nagrody dla zdobywców mistrzostwa Krzemionek, t. j. dla wspinających się na śnieg, stanowiły nie szynka, trzewiki, ubranie i t. d., ale gotówka, t. j. po tysiąc marek dla każdego. Wobec tego nawet inteligenci, którzy mieli zamiar tłumnie zgłosić się do wzięcia udziału w zawodach, zrezygnowali z tego, twierdząc, iż nie opłacił się skórka za wyprawę. I mieli rację, jeżeli się zważy, że dzisiaj jeden „lis“ równa się wartością niecałej austriackiej ś. p. koronie, a za taką marną kwotę, nie miał nikt ochoty narażać się na uszkodzenie dolnych części garderoby, przedstawiających się na ogół dzisiaj bardzo niewyraźnie. Nie było zatem obok śniega na Krzemionkach w tym roku zbyt wielkiego ruchu. Ci bowiem, którzy dawniej próbowali tutaj szczęścia, zajmują obecnie stanowiska społeczne, nie pozwalające im na coś podobnego, ich następcy w ostatniej chwili zawiedli. Zabawa jednak na ogół była bardzo ochocza, Podgórzanie nie sprzeniewierzyli się bynajmniej dawnym tradycjom, a zarzuty jakie im czyniono, że względem Krakowian okazują nieufność, okazały się bezpodstawnymi.

Kto należał do wybranych po Rękawce mógł wziąć udział w raulce, wydanym na cześć ministra skarbu dra Michalskiego, przez Izbę Handlową w Krakowie. Zebrałi się w jej salonach przedstawiciele naszej finansjery, przemysłu, handlu, paska i lichwy, a wartość obecnych obliczył jeden ze znawców na 976 miliardów marek. Nastroj był oczywiście bardzo poważny, bo i jakże mogło być inaczej, gdy się znalazli obok siebie same takie grube ryby... Tu i ówdzie przewijał się wprawdzie między nimi jakiś kiełbik, ale zwracano nań jednak najmniejszej uwagi, co najwyżej byłby go może zapytał któryś z uprzywilejowanych uczestników w popularny sposób: „kajś ta wiaś?...“ Pan minister miał sposobność stwierdzić na własne oczy, że Krakowianie, zwłaszcza z pośród tych sfer, z którymi zetnął się w Izbie Handlowej, na fantazji nie nie stracili i nie znać na nich bynajmniej fatalnych następstw wojny.

Szczęśliwie zatem skończył się wtorek, z nim zaś także i święta wielkanocne we właściwym słowa tego znaczeniu. Pozostało po nich jedynie przyjemne wspomnienie i, jak się wyżej rzekło, bigos, tem się różniący od sprzedawanego w handiach i restauracjach, iż nie zawiera pozostałości z całego tygodnia, lecz resztki ze święconego, zatem żołądkowi zaszkozić nie może, a przynajmniej nie powinien. Tym bigosem karmi się wiele rodzin aż do niedzieli przewodniej i poniedziałku, kiedy mieszkańcy Kleparza urządzą święcone, na tem zaś kończy się już naprawdę Wielkanoc i następuje powrót do zwykłych, codziennych zajęć.

Pozbywszy się kłopotów świątecznych, mamy więcej czasu do zajmowania się polityką, a tematem rozmów są oczywiście niespodzianki genueńskie, zgutowane przez Niemców i bolszewików. Łamią sobie ludziska głowy nad tem, czy konferencja się rozleci jeszcze przed powzięciem jakichś uchwał, czy też je powożenie, aby potem odpoczywały spokojnie w biurkach dyplomatów, czekając cierpliwie aż się znajdzie ktoś, kto chciałby się do nich zastosować. Przy budowie biblijnej wieży Babel pomieszały się pracującym języki, w Genui stało się to z pojęciami wielowników, a odbiło się nie tylko na politykach, lecz także i na dziennikarzach bo oto jeden z naszych wielkich sprawozdawców ujrzał nagle Genue „spłacz nad modrym Adryatykiem“, a spostrzeżeniem swem podzielił się z czytelnikami, którzy poznali z tego, jak fatalnie traktowano u nas dawniej geografą, gdy uczono, że Genua leży nad Zatoką Liguryjską, a Wenecja nad modrą Adrią.

Wobec tego kronikarz jest bardzo zadowolony, że się na konferencję nie wybrał, byłby bowiem z pewnością zabłądził w drodze i nie dojechał na miejsce przeznaczenia.

Z powodu wystąpienia w Genui Niemców i bolszewików wielka Koalicja znalazła się w niemałym kłopotcie. A Lloyd George kłaj podobno jak prawdziwy szewc. Sytuację ratuje natomiast mała Koalicja i Polska, a ministrowie Skirmunt i Benesz wysunęli się na pierwszy plan. Minęły święta wielkanocne, minęła także Pascha wielkich finansistów, uspokoją się zatem może powoli i umysły, a konferencja będzie mogła przystąpić do swego właściwego porządku dziennego, choć jak się słusznie ktoś wyraził, prochu z pewnością nie wynajdzie, gdyż kto inny dawno już tego dokonał.

